

Jan Woleński

POLSKA POLITYKA I MORALNE STANDARDY DEMOKRACJI

Politycy powinni respektować wartości moralne w swych działaniach, ale notorycznie tego nie czynią”. Konstatacja ta zapewne dała asumpt S.J. Lecowi, który w jednym ze swych aforyzmów rzekł, iż poszukiwanie moralności w polityce zakrawa na mistycyzm. Niemniej jednak, chociaż początkowe stwierdzenie jest prawdziwe w odniesieniu do każdej epoki historycznej i każdego ustroju, ale na pewno nie kończy dyskusji. Przede wszystkim, trzeba podkreślić, że to, co można nazwać moralnością polityczną, a więc zespół wartości moralnych uwikłanych w działalność polityczną i zasad mających nią kierować stanowi zespół swoisty czy nawet osobliwy. Gdy od polityka wymaga się uczciwości, prawdomówności czy łagodności wobec bliźnich (rzeczy powszechnie od ludzi wymaganych), to zaraz pojawia się zastrzeżenie, iż trzeba mieć realistyczne podejście do tych spraw, bo „z natury rzeczy” politycy nie mogą być w pełni uczciwi, prawdomówni czy łagodni. Wiele z codziennych zasad moralnych traktuje się wobec polityków z przymrużeniem oka, np. ich niezbyt oficjalne sprawy miłosne (przewiny w tym zakresie nie tylko nie kompromitują osobistości politycznych, ale nawet przydają im blasku). Ale i przekroczenia owych swoistych wymagań wobec polityki mają to do siebie, że czas je zaciera w polityce bardziej niż w innych regionach działalności ludzkiej. Aleksander Wielki, Juliusz Cezar czy Kazimierz Wielki byli niczego sobie okrutnikami i popełniali zwyczajne zbrodnie, ale znajdują się w międzynarodowych lub przynajmniej narodowych panteonach politycznych znakomitości. Poza przypadkami ekstremalnymi (Hitler, Stalin, Pol Pot) zapomina się moralne uchybienia tym bardziej, im są wybitniejsi. Znany to problem relacji pomiędzy moralnymi i pragmatycznymi (instrumentalnymi) kryteriami oceny polityków. Są oceniani i tak, i tak, a pożądane czy dopuszczalne proporcje w tych względach są przedmiotem starego sporu w filozofii politycznej – co jest lepsze: niemoralna skuteczność czy moralna nieskuteczność. Jest też zapewne tak, że oceny moralne bardziej stosujemy do polityków obecnych niż przeszłych. Nic w tym dziwnego, jeśli zważyć, że skutki działań politycznych ujawniają się na ogół po czasie, i dopiero wtedy widoczne są ich korzyści instrumentalne. Tak więc ocena w kategoriach moralnych jest możliwa tu i teraz, a w kategoriach pragma-

tycznych przede wszystkim w odniesieniu do przeszłości. Nie widać specjalnych widoków na uzgodnienie tych spraw, co sprawia, że dyskusja w sprawie proporcji pomiędzy respektowaniem kryteriów pragmatycznych, z jednej strony, a moralnych z drugiej, jest niezbyt efektywna. Trzeba też zauważyć, że politycy są inaczej oceniani w społeczeństwach zasobnych niż borykających się z trudnościami, a czasem zależnie od powinności moralnych obowiązujących ich skądinąd. Nikogo nie gorszy fakt, że Kazimierz Wielki miał gromadę nieślubnych dzieci (co najwyżej ubolewa się, że nie pozostawił legalnego spadkobiercy), ale sześcioro potomków papieża Aleksandra VI Borgii jest przedmiotem trwałej dezaprobaty, „bo to papież, a więc nie powinien”.

Nie nawołuję do relatywizmu moralnego w sprawie kwalifikowania postaw i zachowań politycznych. Wręcz przeciwnie, uważam, że właśnie dyskusja na temat współczesności jest szczególnie właściwa, bo tylko ona jest w stanie minimalizować spojrzenie na polityków z punktu widzenia instrumentalizmu. Współczesna Polska jest bardzo dobrym przypadkiem dla dyskusji na temat moralności politycznej. Sprzeciw przeciwko komunizmowi miał w Polsce wyraźne oblicze moralne, a to samo dotyczyło „Solidarności”, a więc ruchu, który nie tylko sprzeciwił się, ale wręcz zbuntował i w końcu wygrał. „Solidarność” przejęła władzę deklarując potrzebę moralnego odrodzenia. Sytuacja społeczno-ekonomiczna Polski jest porównywalna ze stanem, powiedzmy, Czech i Węgier, ale intensywność przesłania moralnego stowarzyszonego z obaleniem komunizmu była u nas nieporównanie większa niż w tych krajach.

Po tych wyjaśnieniach przechodzę do odpowiedzi na pytania postawione przez Redakcję z wyjątkiem trzeciego, ponieważ w tej sprawie już wypowiedziałem się wyżej. Może dodam tyle tylko, że nie widzę możliwości zaniechania ocen w kategoriach pragmatycznych. Historia wskazuje jednak, że nieskuteczny moralizm polityczny jest chyba jednak gorzej przyjmowany niż skuteczny amoralny instrumentalizm, o ile ten drugi mieści się w pewnych granicach.

Ad 1. Pytacie Państwo, czy w działalności społeczno-politycznej (rozumiem, że w naszym kraju) obecna jest (a jeśli tak to jaka?) koncepcja dobra wspólnego. Otóż, nie znam polityka, który by nie deklarował, że służy dobru wspólnemu, ogólnej pomyślności itp. Jeśli tak jest, to kategoria dobra wspólnego jest zbyt pojemna, by pełnić jakąś operatywną rolę w dyskusji. Uważam, że samo użycie terminu „dobra wspólne” jest niewłaściwe. Kategoria ta pełni ostatnio funkcje ideologiczną, gdyż została zawłaszczona przez katolicką naukę społeczną i jest (choć tak być nie musi) interpretowana przez jej pryzmat. Moim zdaniem trzeba sprawę postawić tak. Obalenie starego systemu przyniosło fundamentalne zadania społeczne i wielkie oczekiwania. Krótko mówiąc: rzeczą polityków stało się zreformowanie państwa niemal pod każdym względem. Społeczeństwo chciało zmian, szybkich i widocznych. Zapewne ludzie byli nastawieni zbyt optymistycznie, a politycy sądzili, że przeprowadzenie reform przyjdzie relatywnie łatwo. Stała się rzecz niezwykła. Polska, podobnie jak Czechy i Węgry, stała się innym krajem, wprowadzając na dorobku, ale coraz bardziej przypominającym standard

współczesny. Mimo to, architekci przemian spotkali się z negacją ze strony społeczeństwa. Tym, którzy nie pamiętają, warto przypomnieć, co następuje. W wyborach 1989 r. „Solidarność” odniosła spektakularne zwycięstwo. Obsadziła 99 miejsc na 100 w Senacie. Padła niemal cała lista krajowa: 50 czołowych działaczy dawnego systemu. Głosowanie na listy poselskie koalicji PZPR, PSL i SD trzeba było powtórzyć w II turze, w której wzięło udział kilkanaście procent wyborców. Było to wyraźne wskazanie: wybierajcie się sami. W pierwszych wyborach prezydenckich kandydat postkomunistów otrzymał bodaj 10%. Kilka lat później postkomuniści wygrali wybory parlamentarne, a ich kandydat – prezydenckie, pokonując niedawnego absolutnego idola społecznego (Lecha Wałęsę – przyp. red.). Wiele wskazuje na to (początek września 2000), że ich sukcesy polityczne będą w najbliższej przyszłości bardziej spektakularne niż w połowie lat dziewięćdziesiątych. Wynika z tego, że Polacy w olbrzymiej masie poczuli się zawiedzeni sprawowaniem rządów, które jeszcze kilka lat wcześniej uosabiały ich przeświadczenia moralne. Trudno wyrokować, na ile owo poczucie zawodu jest uzasadnione. Może obraz Polski wygląda inaczej w oczach profesorów, a inaczej w oczach ludzi zagrożonych bezrobociem. Może obiektywne warunki ekonomiczne nie pozwoliły na tak szybką realizację przemian, jak to sobie wyobrażano w latach 1989–1990. Podobne nastroje panują w Czechach i na Węgrzech. Wynika z tego, że mamy do czynienia z pewnym typowym zjawiskiem w krajach porównywalnych z Polską. Jakby nie było, obywatele uważają, że władza nie zrealizowała tych zadań, jakie przed nią stanęły w wyniku obalenia starego systemu. Jeśli ktoś upiera się, to ten stan społecznego ducha można nazwać poczuciem, że deklarowane dobro wspólne nie zostało wypełnione. Zwracam uwagę, że w tym miejscu mówię o kształcie świadomości, a nie odnoszę się do realnych możliwości spełnienia stosownych oczekiwań w spodziewanym stopniu.

Dalsza dyskusja, a więc odpowiedź na pytanie, jak rzeczy się miały i mają naprawdę, wymaga obszernej analizy i kompetencji innych niż filozoficzne. O ile mi wiadomo, to brakuje dokładnej i rzeczowej diagnozy w sprawie tego, co stało się w latach dziewięćdziesiątych. Dalsze moje uwagi w tym punkcie są może nieco amatorskie, ale mimo wszystko decyduje się na ich sporządzenie. Mniemam, że kolejne ekipy nie wypełniły swych zadań w sposób zadowalający. Nie mogę przyjąć wyjaśnienia, że upłynęło zaledwie dziesięć lat od zmiany systemu. To wcale niemało. Polska międzywojenna miała na starcie daleko gorszą sytuację, a przez lat dziesięć, a może i mniej, dokonano rzeczy naprawdę ważnych. Dziesięć lat to jednak sporo, dodatkowo zważywszy, że klimat zewnętrzny i wewnętrzny (ten drugi przynajmniej na początku) sprzyjający, a i pomoc międzynarodowa wcale niemała i na pewno równoważąca zawalenie się tzw. ściany wschodniej, czyli wymiany z byłym ZSRR. To, co można zarzucić polskim politykom ostatniej dekady (wszystkim, a nie tylko prawicy), to zignorowanie rzetelnych przewidywań (np. w sprawie przestępczości) i partackie (służba zdrowia) lub niepotrzebne (edukacja, podział administracyjny) reformy; nie jest też jasne, czy reforma ubezpieczeń społecznych okaże się udana. Wiele analiz wskazuje i chyba tak właśnie jest, że

zmiana wyglądu Polski jest dziełem średniej prywatnej aktywności gospodarczej i w istocie rzeczy działa na korzyść tych grup, jakie to realizują, a nie całości społeczeństwa. Nie przyniosły spodziewanych efektów przypadki przejęcia zakładów państwowych przez kapitał zagraniczny lub prywatny krajowy. Państwowy sektor gospodarczy jest albo nieefektywny (np. przemysł górniczy) albo działa na przedziwnych zasadach. Oto powstała fikcja samodzielnych podmiotów gospodarczych, ale będących własnością Skarbu Państwa, jak Telekomunikacja Polska SA czy Polski Koncern Naftowy. Są to z reguły wielcy monopolisci, swobodnie narzucający ceny. Nieefektywność państwowych kolosów gospodarczych ma skutek i ten, że często zalegają ze składkami ubezpieczeniowymi czy innymi świadczeniami na rzecz swego właściciela. Dochodzi do sytuacji humorystycznych, np. PKP zalega z opłatami za prąd, przemysł energetyczny grozi unieruchomieniem kolei, a w końcu rząd musi interweniować, by jeden państwowy sektor nie uczynił krzywdy drugiemu. W istocie rzeczy, polski system ekonomiczny jest niezwykle skomplikowany. Jeden ze znajomych prokuratorów, specjalizujących się w sprawach gospodarczych, powiedział mi kiedyś: „Trudno rozwikłać sieć powiązań i interesów gospodarczych”. Niżej próbuję to wyjaśnić, przynajmniej w pewnym zakresie.

Matematyka nie kłamie. Oto rozumowanie, które zdaje mi się nieodparte. Polacy płacą wysokie podatki, a zarabiają niewiele. Możemy przyjąć, że ceny w Polsce kształtują się na poziomie 60–70% cen zachodnioeuropejskich, a zarobki w sektorze budżetowym około 30% tamtejszych dochodów. Polityka finansowa państwa cechuje się wysokim fiskalizmem. Tym należy tłumaczyć uporczywe utrzymywanie monopolistycznych kolosów w postaci TP SA lub Polskiego Koncernu Naftowego. Jedną z osobliwości ich działania jest to, że płacą podatki swemu właścicielowi, tj. państwu. To tak, jak gdyby każdy z nas powiedział: wprowadzam podatek od swych dochodów na swoją rzecz. W skali indywidualnej czy prywatnej takie postawienie sprawy jest absurdalne, ale nie w przypadku TP SA czy Orlenu. Wyższa cena usług telekomunikacyjnych czy benzyny oznacza odprowadzenie wyższego podatku w formie pośredniej. W sumie, matematyka podpowiada, że dochody państwa z rozmaitych tytułów są poważne. Każdy zatrudniony w sektorze państwowym jest obciążony składką na ZUS, dzięki czemu utrzymuje emerytów i rencistów. A ponieważ renty i emerytury są znacznie niższe niż płace, emerytów i rencistów, aczkolwiek mamy ich sporo, jest mniej niż zatrudnionych trudności budżetowych nie można więc tłumaczyć wydatkami na ubezpieczenia społeczne. Wiadomo że część osób opłacanych z budżetu ma się wyjątkowo dobrze. Znaczy to, że część pieniędzy wpływających do budżetu jest po prostu zawłaszczana przez biurokrację polityczną i gospodarczą. Ile? Trudno powiedzieć, bo są to sprawy okryte tajemnicą. Przyjmijmy, że takich osób jest w Polsce pół miliona, a każdy z nich zawłaszcza 10 tysięcy złotych rocznie. Daje to 5 miliardów rocznie, a więc bardzo dużo, np. problemy finansowe ZUS zamknęły się kwotą 4 miliardów złotych (w 1999 r.). Tak więc uzdrowienia tej ważnej instytucji pochłonęłoby mniej niż kwota przywłaszczona przez biurokrację. Skąd wzię-

łem owe pół miliona biurokratów i dziesięć tysięcy złotych? W Polsce działa podobno 600 spółek skarbu państwa. Zakładam, że każda z nich żywi dostаточно 50 osób. Daje to już 30 000 osób. Trzeba to pomnożyć, co najmniej przez 2 lub nawet 3, bo zarobki w spółkach skarbu państwa są astronomiczne. Prezes Kombinatu Hutniczo-Miedziowego – 90 tys. miesięcznie (firma przynosi straty), prezes TVP SA – ponoć 500 tys. miesięcznie, prezes TP SA – 75 tys. miesięcznie (tłumaczy to dobrymi wynikami ekonomicznymi, ale wiadomo, że są one nie jego zasługą, ale pozycją monopolistyczną). Mamy więc już około 100 000 statystycznych zawłaszczycieli, tylko z samych spółek skarbu państwa. A do tego dochodzą politycy, samorządowcy, administracja lokalna itd. Gdy przedstawiam swoje wyliczenia, to uważane są one za umiarkowane. Wszelako trafność argumentacji zależy od poprawności założeń, a to niestety trudno sprawdzić, bo ich brak. Skoro jednak dane są ukrywane o ile możliwości, to zapewne nie bez przyczyny i to bardzo fundamentalnej dla tych, co je ukrywają.

Innym charakterystycznym i niezwykle szkodliwym rysem sytuacji w Polsce była stopniowa instrumentalizacja ekonomiki i życia publicznego z punktu widzenia doraźnych potrzeb politycznych czy apriorycznych założeń doktrynalnych. Właściwie tylko pierwszy rząd po 1989 r. był od tego wolny. Kolejne dwa rządy (H. Suchockiej i J. K. Bieleckiego) realizowały politykę skrajnie liberalną, a więc podporządkowaną pewnej ogólnej doktrynie, nie najlepszej w naszych warunkach. To jednak stan korzystniejszy od poddania ekonomiki powierzchniowym interesom politycznym. Kolejna ekipa (SLD-PSL) była zachowawcza, by nikomu nie narazić się, a ponadto kierowała się własnymi resentymentami, np. dążeniem do ochrony wielkiego przemysłu państwowego (SLD) a PSL demagogicznie pojmovanym interesem wsi. Po niej przyszły rządy prawicowe. Zaofiarowały, dla uzyskania jakiegoś spektakularnego sukcesu, cztery kosztowne reformy społeczne. Reforma podatkowa nie udała się z powodu weta prezydenta. Kontekst zarówno reformy, jak i weta jest jednak niezbyt przezroczystry. Analiza propozycji podatkowej wskazuje, że była ona korzystna dla grup popieranym przez liberałów w stylu Balcerowicza, a weto było bardziej aktem politycznym niż ekonomicznym. O reformach przeprowadzonych wspominałem już wyżej jako o nieudanych, niepotrzebnych lub wątpliwych. Gdy to piszę, mamy wrzesień i zbliżają się wybory. Pojawił się kolejny niewypał reformatorski, czyli powszechnie uwłaszczenie, tym razem już jawnie nastawiony na kampanię prezydencką. Niestety w miarę upływu czasu poczynania gospodarcze kierowały się coraz bardziej kryteriami politycznymi, a mniej racjonalnością ekonomiczną.

Instrumentalizacja ekonomiki wobec polityki jest sprzeniewierzeniem się fundamentalnym powinnościom organizatorów życia gospodarczego. Nie nastaje na to, że jest to wykroczenie przeciwko zasadom moralności politycznej, ale na pewno stwarza to sytuację, w której trudno kultywować wartości moralne mające otaczać politykę. Chciałbym się nieco zatrzymać nad kwestiami systemu finansowego, bo ma on interesujący związek z dyskutowaną kwestią. System ten został wy-modelowany tak, by biurokracja miała się dobrze. Oto bardzo charakterystyczny

przykład. Kilka lat temu pracownicy naukowcy prowadzący zajęcia na studiach zaocznych zostali wezwani do zmiany umów zlecenia na umowy o dzieło, bo te drugie gwarantowały tzw. 50% kosztów uzyskania. Jest to rozwiązanie absurdatne, bo umowa dotyczy wykładów kursowych, a to przecież żadne dzieło, tylko powtarzanie rzeczy znanych. Zastanawiałem się skąd u licha taka łaska fiskusa, który na ogół łaskawy nie jest. I szybko okazało się w czym rzecz. Wyżsi urzędnicy Ministerstwa Finansów zarobili ponad miliard starych złotych na głowę za wyjaśnianie (w formie płatnych wykładów) zawiłości prawa finansowego. Dzięki nowym ustaleniom traktującym wykład jako dzieło, do podstawy wymiaru podatku jako dzieła liczyła się tylko połowa zarobionej kwoty. Podobnie można sądzić o innych absurdach systemu podatkowego, np. darowiznach czy rentach. I one zostały wprowadzone przede wszystkim dla wtajemniczonych. Ustawa o kominach płacowych zapewne okaże się niezbyt skuteczna. Już słyhać o intensywnych pracach nad sposobami jej obejścia, np. radni myślą o komisjach nadzwyczajnych i specjalnych nagrodach. Tak więc, biurokracja polityczna i gospodarcza szybko zorientowała się, że można się urządzać bardzo dobrze w tej rzeczywistości, jaka powstała po 1989 r. Opóźnienia w prywatyzacji, monopole, pozorne reformy, absurdy systemu podatkowego i utrzymywanie deficytowych kopalń mają za sobą najzupełniej wymierne interesy, niezależne od barwy ugrupowania politycznego. Trudno zrozumieć, w racjonalnych kategoriach, protesty górnicze, skoro górnikom zapewnia się spore osłony socjalne. Wszelako jeśli zważy się, że kierownictwo kopalń i aktyw związkowy są żywotnie zainteresowane w utrzymywaniu *status quo*, nie ma wątpliwości, że akcje górników są inspirowane przez biurokratów (wiadomo że dyrektorzy kopalń dostarczali górnikom autobusy wiozące ich do Warszawy). Konkludując: elity gospodarczo-polityczne kierują się w dużej mierze prywatą, a to sprawiło, że zadania reformatorskie zostały wykonane po partacku lub zaniechane. Analitycy mogą sobie powiadać, że wzrost cen paliw płynnych grozi inflacją, a minister finansów swoje: akcyza nie ma wpływu rzeczywistego, ale jeno medialny. Za to od razu powinien zostać zwolniony, ale chroni go układ (por. niżej).

Czy mogło być inaczej? Trudno na takie pytania odpowiadać, bo mamy do czynienia z rozważaniami kontryfakcyjnymi. Ale pewne domniemania można sformułować. W Polsce uderza to, że znikły instytucje użyteczności publicznej. Wprawdzie niektóre mają to jeszcze w nazwie, ale stały się – np. Poczta Polska – „jednostkami na własnym rozrachunku”. W ogólności zapanowała zasada, że państwo niczego nie dotuje, bo nie ma na to pieniędzy. Nieprawda. W Czechach, a więc kraju z nami porównywalnym, państwo dotuje np. komunikację i to znacznie bardziej niż w Polsce; tańsza też jest żywność. Okazuje się tedy, że dotowanie sektorów użyteczności publicznych zależy nie tylko od możliwości budżetowych, ale także ideologii. Ideologia głoszona w Polsce uznaje wszystko za towar i stosownie do tego rozdzielane są fundusze publiczne. Towarem jest także nauka i edukacja, by potrafić o własne podwórko. To jest oficjalna teza L. Balcerowicza, głównego ideologa myśli ekonomicznej ostatniej dekady. Doceniam jego osią-

gnięcia, ale chyba łatwiej było zapełnić puste półki sklepowe niż stworzyć rozsądną politykę długofalową. „Cud zdarza się tylko raz”, by nawiązać do filmu popularnego w połowie lat pięćdziesiątych. Pewne rzeczy dały się jednak przewidzieć, np. wzrost bezrobocia czy problemy sektora państwowego. T. Syryjczyk pierwszy minister przemysłu po upadku komunizmu, po 6 miesiącach urzędowania doszedł do odkrywczego wniosku, że wypadałoby policzyć koszty wydobycia węgla. A przecież od tego należało zacząć, nazajutrz po objęciu stanowiska z uwagi na rolę węgla jako źródła energii. Resort kierowany przez Syryjczyka nazywano „Ministerstwem Bezruchu”, co dobrze odpowiada metodzie bezwzględnej rzucenia ekonomiki w żywiołowy mechanizm wolnego rynku. Dało się też przewidzieć, że finansowanie szkolnictwa wyższego w 70–80% doprowadzi do patologii i kłopotów ze scholaryzacją społeczeństwa w Polsce, jedną z najniższych w Europie. W sumie, na pewno można było do wielu rzeczy podejść inaczej, np. do kwestii bezpieczeństwa socjalnego, kultury czy nauki, właśnie nierynkowo.

Domniemania dotyczą jednak tylko konkretnych rzeczy. Nie ma wątpliwości, że zostały popełnione rozmaite błędy. Trudno oczekiwać bowiem, że realizacja zmian ekonomicznych w sytuacji z wieloma niewiadomymi może być bezbłędna. Niemniej jednak, przed wieloma błędami przestrzegano, a zadziwia beztroška władzy w ignorowaniu owych ostrzeżeń. Z globalnego punktu widzenia nadzieje na to, że rządzący kierują się jakimś dobrem wspólnym, że gotowi są poświęcić na jego rzecz swoje interesy, jest naiwna. Tak nie było, nie jest i chyba nie będzie. Być może, iż ogólny bieg zdarzeń był taki, jaki być musiał i nie należało oczekiwać cudów, ale na pewno wiele spraw można było załatwić lepiej i szybciej. I na koniec tego ustępu opiszę pewne zdarzenie ilustrujące kształtowanie się świadomości w Polsce. Rozmawiałem kiedyś z kimś, komu poszczęściło się w interesach o systemie podatkowym. Mój rozmówca był zdecydowanym przeciwnikiem progresji podatkowej, a opowiadał się za podatkiem liniowym, tj. takim samym procentem niezależnie od wysokości dochodów. Powiedział (cytuje, bo dobrze zapamiętałem): „Niby dlaczego mam płacić więcej tylko dlatego, że mi powiodło się”. W stanie wojennym był aktywnym działaczem podziemia, gotowym poświęcić wolność dla sprawy, a może coś więcej. Tak to się zmienia. To dobry wstęp do kolejnego punktu.

Ad 2. Pytacie Państwo dalej, na jakich wartościach powinna być oparta służba publiczna? O ile uznamy, że działalność publiczna jest służbą czemuś i komuś, to od razu prowadzi to do pewnych wniosków, np. że służba publiczna jest działaniem służącym interesowi ogólnemu, bezinteresownym, a przynajmniej wolnym od jawnej prywaty i respektującym walory moralne. Niemniej jednak, są to ogólniki. Moim zdaniem służba publiczna nie stanie się takową, o ile nie zostaną stworzone wyraźne ramy prawne. Mam na myśli przede wszystkim mechanizmy odpowiedzialności politycznej. Gdy w otoczeniu kanclerza W. Brandta znalazł się szpieg, ten natychmiast podał się do dymisji. Czuł się za to odpowiedzialny, aczkolwiek nie ponosił żadnej winy osobistej za rzeczony stan. Gdy brytyjski minister Profumo swawolił z dziewczyną, która okazała się również kochanką rezy-

denta KGP, dostojnik stracił posadę, chociaż nie wiedział o innych romansach swojej bogdanki. Gdy funkcjonariusze niemieckiego (RFN) ministerstwa spraw wewnętrznych zabili kilku terrorystów, szef tego resortu poprosił o dymisję, aczkolwiek nie wydał stosownego rozkazu. To są przypadki wzorcowe, które wskazują na ważną cechę odpowiedzialności politycznej. W szczególności, przy odpowiedzialności politycznej nie ma domniemania niewinności. Polityk odpowiada na zasadzie ryzyka. Nie było podstaw do wytoczenia J. Oleksemu sprawy karnej za kontakty z wywiadem radzieckim, ale polityk prywatnie „biesiadujący” z wysokim urzędnikiem ambasady obcego państwa, musi brać pod uwagę, że kontaktuje się ze szpiegiem. I musi za to ponosić odpowiedzialność polityczną. Zawsze może wrócić, o ile np. wyborcy sobie tego życzą, ale w momencie „zawałki” nie ma wyboru: pozostaje mu tylko dymisja. W Polsce te sprawy są postawione na głowie. Wypadki dymisji są rzadkie, podał się np. do dymisji min. Handke, ale sytuacja była krańcowa i zapewne nie było wyboru. Inni oddają się do dyspozycji premiera (czy innego przełożonego), a ten bardzo często ich utrzymuje, nawet w przypadku jawnej nieudolności. Motywy tolerancji są bardzo różne, np. solidarność partyjna, która uchyla takie przypadki, jak sławna sprawa pośta, którego broniono (rzeczony min. Handke, i szefowie AWS) nawet, gdy udowodniono mu plagiat. Dopóki nie zostaną wykształcone w Polsce zdrowe mechanizmy odpowiedzialności politycznej, nie ma co myśleć o właściwym stosunku do służby publicznej, a działania polityków będą wynikiem dążenia do władzy za wszelką cenę, interesem partyjnym czy prywatą. Wszystkie sondáže socjologiczne wskazują na bardzo niską ocenę stanu moralności publicznej w Polsce. Są tak jednoznaczne, np. w sprawie miejsca zajmowanego przez parlamentarzystów i innych polityków na skali zaufania społecznego, że chyba odzwierciedlają rzeczywisty stan rzeczy. Pod tym względem Polska potwierdza skądinąd znane negatywne oceny polityki pod względem moralnym. Te elity polityczne, które doszły do władzy po 1989 r. (mam w tym momencie na uwadze ludzi „Solidarności”), przeszły bardzo głęboki proces degeneracji moralnej, zważywszy hasła, pod jakimi wystartowały. Widowym znakiem ich alienacji stały się obchody dwudziestolecia podpisania porozumień sierpniowych: wśród uczestników jubileuszowej fety zabrakło prostych ludzi. Tak więc nowa elita szybko wykształciła w sobie pogardę dla innych, zupełnie podobną do tej, którą demonstrowali komunistyczni wielmoże. Dopóki nie wykształci się w Polsce duża i profesjonalna grupa polityków (mam awersję do terminu „klasa polityczna”), będzie tak, jak jest. A więc nieciekawie. Rezultatem będzie zaniedbanie całych ważnych sektorów publicznych wyrażające się m.in. tym, że niemal w każdym „Wiadomościach” słyzy się, iż nie ma pieniędzy na to lub owo, chyba że obywatele sami to sfinansują. Chciałoby się powiedzieć: „Politycy wyżywią się sami, reszta zależy od ofiarności społecznej”.

Może ktoś zarzucić powyższym sformułowaniom zbytni pesymizm i pomijanie pozytywnych zmian w życiu politycznym po 1989 r. Otóż, po pierwsze, zmian tych oczywiście nie neguję. Polska weszła na drogę ładu demokratycznego, w ogóle nieporównywalnego z tym, co było przed 1989 r. Ale skoro tak, to w ogóle nie

ma sensu porównywanie moralności publicznej z tych dwóch okresów. Trzeba odnosić obecne życie publiczne właśnie do wymagań ustroju demokratycznego, a nie do sytuacji, w której go nie było. Po drugie, zadaniem takiej analizy, jak moja, jest właśnie uwypuklanie negatywów, a nie szukanie pozytywów. Po trzecie, jestem jak najdalszy od obrony sytuacji sprzed 1989 r. Wszystkim, którzy wdychają do tych czasów, trzeba przypominać puste półki, ograniczenia paszportowe, cenzurę, brak wolnej prasy i cały szereg innych rzeczy. To jednak nie powód do traktowania obecnych negatywów z przymrużeniem oka. Jest przy tym rzeczą pouczającą, że postkomuniści, jak już wyżej podkreśliłem, są całkowicie porównywalni z politykami o innych kolorach. Wynika z tego, że kształt życia publicznego zależy od jego ustrojowego otoczenia i z nim winien być zestawiany. Sądzę, że masowa krytyka obecnych polityków jest właśnie wyrazem takich postaw, a nie tęsknotą za PRL. Niektórzy politycy albo tego nie rozumieją albo udają, że nie rozumieją. Tym gorzej dla nich, bo wyborcy świadomi tego jak jest, skłonni są do poszukiwania alternatyw: skoro prawica zawiodła, to niech rządzi lewica i na odwrót. Niestety tego rodzaju roszady kadrowe do niczego dobrego nie prowadzą. W szczególności, zwycięskie ekipy natychmiast sprawiają rewolucje personalne, wedle kryteriów partyjnych, a nie kompetencyjnych. Jeden z czołowych polityków polskich ujął to w szczerym powiedzeniu: „Teraz k.... my”. A jest to, Jarosław Kaczyński (jestem przeciw unikaniu nazwisk), osobnik znany onegdaj ze swych moralistycznych zapędów, w szczególności protestujący z pobudek właśnie moralnych przeciwko „beneficjentom byłego systemu”, jak się był wyrażał.

Ad 4. Pytacie państwo o zagrożenia życia politycznego w Polsce. Zacznę od korupcji. Każdy wie, że korupcja w Polsce jest znaczna. W lecie 2000 r. jedna z gazet codziennych podała nawet taryfikatory za załatwienie rozmaitych spraw. Polska nie jest oczywiście jedynym krajem, gdzie korupcja ma miejsce. Jest ona zresztą stara jak świat. Korupcja jest oczywiście zjawiskiem szkodliwym. Prowadzi do niesprawiedliwości, nienależnego bogacenia się, znieczula świadomość moralną i prawną i powoduje wiele innych negatywnych skutków. Ale korupcja korupcji nierówna i trudno oszacować realne zagrożenie jej poszczególnych rodzajów. Wyjaśnię to na przykładzie. Polski system edukacyjny jest wielce skorumpowany. Nauczyciele udzielają płatnych korepetycji już w szkołach podstawowych, od ich pobierania uzależnione jest przyjęcie do liceum, niekoniecznie najlepszego, a proceder ten sięga wyższych uczelni. Jasne jest, że korupcja edukacyjna działa na korzyść bogatych, a upośledza biednych. Jest więc niesprawiedliwa. Wszelako ludzie traktują ją jako zjawisko normalne. Miałem okazję rozmawiać z rodzicami dziecka, które dostało się do liceum po kilku miesiącach korepetycji z kilku przedmiotów. Rodziciele byli niemal dumni z osiągnięć progenitury. Zauważyłem, iż nie jest za bardzo z czego, bo lepiej byłoby, gdyby dziecię po prostu nauczyło się samo. Usłyszałem: „Ależ przecież to powszechne”. Otóż nie sądzą, by korupcja edukacyjna, przy wszystkich swych negatywnych stronach, zasadniczo wpływała na strukturę wykształcenia Polaków. Aczkolwiek nie jest czymś godnym aprobaty, ale nie zagraża życiu

społecznemu. Wiadomo że intratne kontrakty są często skutkiem stosownych łapówek. Skala tego zjawiska nie jest znana. W szczególności, nie wiadomo, na ile łapówki (czy protekcjonizm) prowadzą do kontraktów w końcu wadliwie realizowanych. Rzeczywiste szkody nie wynikają wprost z korupcji, o ile nie jest ona przyczyną strat ekonomicznych wynikających ze złego wykonania. Powtarzam jeszcze raz: korupcja jest szkodliwa sama w sobie, ale nie należy przeceniać jej roli, o ile nie powoduje wymiernych szkód ekonomicznych. Należy też oczekiwać, iż znaczenie korupcji będzie malało w miarę wzrostu konkurencji czy zaspokojenia popytu, np. edukacyjnego. Niestety patologia ekonomiczna nie wyczerpuje się tylko w korupcji. Nie wiemy np. na ile duża jest tzw. szara strefa czy afery gospodarcze. Jest rzeczą zdumiewającą, że ani socjologowie ani ekonomiści nie interesują się zbyt tymi sprawami. O pewnym szczególnie groźnym rodzaju korupcji, już nie tylko ekonomicznej, będzie mowa niżej.

Bardzo groźnym zjawiskiem jest dewaluacja takich wartości, jak państwo, prawo i praworządność. To tradycyjny problem polski. Gdy tworzyły się nowoczesne systemy państwowe, byliśmy pod zaborami. Potem dwadzieścia lat samodzielności z różnymi rezultatami, nie zawsze udanymi. Znowu okupacja. A potem państwowość, jednak połowiczna. Nie sprzyjało to kształtowaniu szacunku dla prawa i państwa, gdyż instytucje te były przez zbyt długi okres czasu traktowane jako narzucone i obce. Stefan Nowak na podstawie badań pod koniec lat siedemdziesiątych doszedł do wniosku, że Polacy traktują swoje państwo tak, jak Amerykanie kolejne administracje. Społeczeństwo polskie charakteryzowało się wedle wspomnianych badań tzw. próżnią socjologiczną, tj. byli skłonni do identyfikacji albo z mikrogrupą rodzinną lub narodem jako makrogrupą; pośrodku nie było niemal żadnych środowisk identyfikacyjnych. Wydawało się, że „Solidarność” doprowadziła do zasadniczego przełomu, jako że powstała masowa organizacja o znacznym stopniu aprobaty, a gdy zwyciężyła, państwo przedstawiło się w nowym i korzystnym świetle. Powstały zatem realne nadzieje na odbudowę czy, w gruncie rzeczy, budowę właściwego stosunku do państwa o prawa, a także, iż sprawa ta stanie się jednym z priorytetów społecznej edukacji Polaków. Niestety, nic podobnego nie nastąpiło.

Podniesione wyżej rozmaite fakty, np. instrumentalizacja ekonomiki wobec polityki czy prywaty rządzących, na pewno nie sprzyjały umacnianiu autorytetu państwa. To oczywiste i nie ma co tej kwestii rozwijać. Jest jednak jeszcze coś, co trzeba podnieść w tym związku. Poczucie wartości państwa przez obywateli zależy również od tego, jak władza dba o jego godność. Na pewno wyzwolenie się Polski spod podległości „interesom obozu socjalistycznego” stało się warunkiem uwierzenia Polaków w wartość własnego państwa. Tym bardziej władza nie powinna czynić niczego, co godność państwa narusza czy obraża. Polska jest krajem katolickim, a politycy otwarcie przyznający się do katolicyzmu kilkakrotnie byli u władzy (są akurat teraz). Nie widać powodu, by swój stosunek do religii ukrywali. Są jednak pewne granice w tym względzie. Sposób zawarcia konkordatu ze Stolicą Apostolską był jawnym pogwałceniem godności państwa polskiego. Trzy

miesiące negocjacji (konkordat przedwojenny był negocjowany kilka lat), zgoda na to, że przedstawicielem Watykanu w rozmowach był nuncjusz papieski (przed wojną kardynał sekretarz stanu), podpisanie umowy przez rząd, który odchodził z powodu otrzymania wotum nieufności, wystąpienie polskiego negocjatora (J.M. Rokita) jako oficjalnego przedstawiciela władzy państwowej na konferencji zorganizowanej przez polską hierarchię kościelną (tutaj wyjaśniam: konkordat został zawarty pomiędzy Rzeczpospolitą Polska a Stolicą Apostolską, a nie Rzeczpospolitą Polską a Kościołem w Polsce) w końcu zupełnie niesłychany krok premiera J. Buzka, który „osobiście zawiązał ratyfikowany konkordat Ojcu Świętemu”, wszystko to były policzki, które władze polskie wymierzyły same sobie. Rozumiem, że przeor Jasnej Góry mógł być niezadowolony, że znika województwo częstochowskie. Jak każdy obywatel miał prawo do publicznego wyrażenia swojej opinii. Zrugął rząd w brutalny sposób. Rząd przyjął to bez szemrania, najpierw wprowadził korektę w postaci województwa częstochowsko-kielecko-radomskiego, a dopiero potem, zapewne na skutek interwencji prezydenta, który zapowiadał weto w sprawie nadmiernej liczby województw, zrewidował swoje stanowisko. Cóż, takie fakty nie budują autorytetu państwa, nawet u katolików.

Autorytet państwa jest nieodłączny od autorytetu prawa. Ten ostatni zależy od tego, czy prawo jest jasne, stabilne i przestrzegane. Niestety jest inne pod każdym z tych względów. Nie jest jasne: tekst konstytucji jest wręcz skandaliczny z tego punktu widzenia, a podobnie jest ze zdecydowaną większością aktów prawnych. Prawo nie jest stabilne, bo często zmieniane. I nie jest przestrzegane. A jeśli prawo nie jest przestrzegane, to państwo nie jest praworządne.

Teoria prawa była moją pierwszą profesją. Kilkanaście lat pracowałem na Wydziale Prawa UJ. Moi koledzy piastują obecnie szereg funkcji publicznych. Słyszę od nich, co dzieje się w Radzie Legislacyjnej, a więc instytucji mającej dbać o jakość aktów prawnych. Rada swoje, ministerstwa swoje, a parlamentarzyści jeszcze coś innego. Ustawa, jak mi powiedział niegdysiejsi poseł, ma wtedy szansę na uchwalenie, gdy za tym stoi „wola polityczna” jakiejś znacznej grupy parlamentarnej, często jakiegoś lobby. Toż samo decyduje o poprawkach, na ogół zmianach na gorsze, wprowadzanych do przygotowanych projektów. Polski system prawny jest nadal inflacyjny, tj. za dużo w nim przepisów, a inflacja prawna, podobnie jak ekonomiczna, obniża wartość tego, co jej podlega. Do tego trzeba dodać jawne błędy legislacyjne w fundamentalnych sprawach, np. odpowiedzialności karnej nieletnich (błąd polegał na tym, że wzrost przestępczości nieletnich był z łatwością przewidywalny, a więc nie było powodu, by łagodzić przepisy w tym zakresie). Prawotwórstwo jest jedną z najczarniejszych plam III Rzeczypospolitej. Towarzyszy temu instrumentalne traktowanie prawa w rozgrywkach politycznych, jak ostatnie przypadki lustracyjne.

Nie tylko prawotwórstwo decyduje o niskim prestiżu prawa w Polsce. Powszechnie wskazuje się na zapaść wymiaru sprawiedliwości. Opłaty sądowe są znaczne, sądy działają wolno, w sumie, obywatelowi trudno dochodzić swych praw. Decyzje prokuratorskie są często niezrozumiałe, a niekiedy jawnie naru-

szają elementarne poczucie przyzwoitości, np. gdy umarza się sprawy wobec polityków z uwagi na znikomą szkodliwość społeczną czynu, np. sforsowania granicy państwa. Obywatele czują się coraz bardziej zagrożeni przestępstwami pospolitymi, a policja odmawia bardzo często interwencji lub ją opóźnia. Polska jej rajem dla złodziei samochodów i przestępczości zorganizowanej. Coraz częściej pojawiają się opinie, że wymiar sprawiedliwości i policja (a także służby celne) są skorumpowane. Jeśli tak jest naprawdę, to korupcja ta istotnie zagraża fundamentom ładu społecznego. Jest to ten szczególnie groźny społecznie rodzaj korupcji, o którym wspomniałem wyżej. Specjalne instytucje powołane do strzeżenia praworządności też nie działają imponująco. Kolejni rzecznicy praw obywatelskich coraz bardziej ograniczali swe interwencje na rzecz zwykłych obywateli, a Trybunał Konstytucyjny w kilku sprawach (aborcja, religia w szkołach), kierował się bardziej ideologią niż literą prawa. Nic tedy dziwnego, że coraz więcej spraw polskich trafia do instytucji europejskich.

Nie będę wypowiadał się na temat zaniku wartości patriotycznych czy cynizmu, bo nie sądzę, by to były jakieś szczególne problemy; wiele z wyżej przytoczonych faktów świadczy o cynizmie polskich elit politycznych, ale nie ma tutaj właściwie nic do dodania. Natomiast mam coś do powiedzenia w sprawie nacjonalizmu i fundamentalizmu. Polacy tradycyjnie nie byli zbyt skłonni do tego rodzaju postaw. Resentymenty antysemityczne były, są i zapewne będą wykorzystywane w celach politycznych. Jest to pewien fenomen z uwagi na brak Żydów w Polsce. Na pewno przypadki tego rodzaju będą szkodzić obrazowi Polski na arenie międzynarodowej, ale chyba nie w sposób znaczący. Nie wiem, jaki fundamentalizm Redakcja miała na myśli. Jeśli religijny, to trzeba było rzecz nazwać po imieniu, podobnie, jak inny, o ile jego miałyby rzecz dotyczyć. Jeśli się nie mylę, to wyczuwam jednak tutaj jakąś rezerwę przed zadaniem wprost pytania: jak się ma religia do moralności politycznej? O pewnym, moim zdaniem szkodliwym, wpływie przekonań religijnych na działalność polityczną wspominałem już wyżej. Tutaj dodam, co następuje. Kościół katolicki stał się w Polsce potężną instytucją. Nic też dziwnego, że politycy zabiegają o jego poparcie (prawica) lub przynajmniej neutralność (lewica). Kościół ma przy tym swoje własne interesy, które starał się zrealizować. Udało mu się skutecznie. Nie widzę nic nagannego w tym, że Kościół dąży do rozmaitych celów, bo zawsze tak czynił. Nie jest też zadziwiające, że politycy dążą do zyskania jego poparcia lub neutralności, bo jest to element rozsądnej gry politycznej. Wszelako konsekwencje tych poczynań muszą być oceniane same dla siebie. Ot, np. długotrwałe i gorące dyskusje wokół aborcji czy konkordatu, rzeczy ważnych dla Kościoła, ale zdecydowanie drugorzędnych wobec rzeczywistych priorytetów ostatniej dekady, pochłonęły zbyt wiele energii społecznej i czasu parlamentarzystów spowolniając w ten sposób rozwiązanie innych i ważniejszych spraw. Okazało się też, iż rekrutacja polityków wedle ich lojalności wobec kościelnych postulatów, nie wygenerowała osób najlepiej przygotowanych do pełnienia funkcji publicznych. Niekorzystne też jest rozpowszechnianie wśród Polaków wiary w magiczne sposoby rozwiązywania trudności spo-

łecznych. Gdy biskup powiada o tym, że tylko Opatrzność uzdrowi rolnictwo, to na tym w końcu polega jego zawód. Gorzej, gdy premier odnawia Śluby Jasno-górskie, prezes Narodowego Banku Polskiego informuje o swych konsultacjach z Duchem św. w kwestiach polityki monetarnej, a przywódca większości parlamentarnej i kandydat na prezydenta oświadcza, że powstanie „Solidarności” było decyzją Boga i zamierza intronizować Chrystusa-Króla dla pokonania szatana w postaci postkomunistów. Jest to prostu tumanienie obywateli przez polityków, nie mówiąc już o tym, że urąga powadze władzy.

Niektórzy powiadają, że takie jest społeczeństwo, jaka jest władza, a inni, że społeczeństwo ma taką władzę na jaką zasługuje. Zdecydowanie odrzucam drugą tezę, a z pierwszą zgadzam się tylko po części. Odpowiedzialność za kształt spraw społecznych spoczywa w pewnym sensie na wszystkich, ale nie jest rozdzielona równo: większa na tych, którzy stoją wyżej i im wyżej. Tedy społeczeństwo ma taką władzę, jaką ma, a nie jest to żadna tautologia. Natomiast, na ile władza kształtuje społeczeństwo, to osobna sprawa. Na ogół, i na szczęście, jest jakoś tak, że nawet bardzo zła władza nie jest w stanie całkowicie zepsuć swych podwładnych.